№ 39. Warszawa, dnia 26 (14) Września 1896 roku. Rok XXXVIII.

# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

LW.

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . . . . . . . . . . rs. **1.**
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . . . . . . rs. **1** kop. **25.**

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. **2.** Na prowincyi złr. **2** cent. **30.**
W Poznaniu
Kwartalnie marek **3.** Na prowincyi mar. **3** pf. **50.**
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. **12.**

## OD REDAKCYI.

*Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał czwarty roku 1896-go. Warunki prenumeraty pozostają te same a mianowicie:*

*W Warszawie: kwartalnie rs. 1.*

*Na prowincyi z przesyłką pocztową:*

| | |
|---|---|
| *kwartalnie* | *rs. 1 kop. 25.* |
| *półrocznie* | *rs. 2 kop. 50.* |
| *rocznie* | *rs. 5.* |

*Adres: „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, Chmielna Nr 26.*

**Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.**

***Za zmianę adresu kop. 15.***

Ś. † P.

## Zygmunt Kaczkowski.

Dnia 7 Września zgasł w Paryżu jeden z najpłodniejszych, bardzo w swoim czasie poczytnych, a w każdym razie jeden z najwybitniejszych naszych talentów belletrystycznych w okresie między 1850 a 1860 rokiem.

Kaczkowski pisał wiele, miał swój wyłączny rodzaj, swoją własną formę — swoją jednem słowem indywidualność, która ani wstępowała w ślady czyjekolwiek, ani się zapożyczała u kogobądź ze współczesnych.

Wykarmiony żywem słowem tradycyi szlacheckiej z epoki saskiej i późniejszej, umiał jak nikt snuć wątek tego życia, rzeźbił postacie z których tryskały krew i życie, illustrował opowiadania swoje epizodami, których siła i barwy dziś jeszcze przenoszą żywcem czytelnika w oną przedwiekową legendę.

Czytanym był, ale nie można powiedzieć, aby go oceniano w owym czasie tak, jak na to zasługiwał.

Nie wiadomo z jakiej racyi, ale faktem jest, że na jego wziętość literacką rzucały cień pewien dwa imiona współczesne, z których żadne nie powinno było stanąć obok, a tem mniej zająć miejsce poczesne przed tym talentem, który epokę swoją artyzmem formy na tyle wyprzedzić potrafił.

Nikt z romansopisarzy współczesnych nie zdołał tak na rozcież otworzyć przeszłości przed czytelnikiem zdumionym, nikt jak on nie umiał kolorytem i bogactwem akcyi, podnieść powieści historycznej do ważności pamiętnika nieledwie.

Z takim też imponującym dorobkiem literackim jaki stanowi spuścizna po Kaczkowskim ani się godzi, ani można rozprawić się na szczupłych szpaltach pośmiertnego wspomnienia. Jedne z jego utworów to klucze do historyi naszej kultury—inne to prawie komentarze dziejowe, a o każdym z tej grupy, czy to będzie Murdelio, czy Gniazdo Nieczujów, Bracia ślubni, albo Anuncyata, daje się powiedzieć, że jest dziełem niezaprzeczonego mistrzowstwa w danym rodzaju.

O Rycerzach Olbrachtowych wspomni każda krytyka w osobnym rozdziale, bo to już bezspornie pomieszczonem być musi w rzędzie arcydzieł naszego piśmiennictwa.

Kaczkowski nie ograniczył się do powieści historycznej. Pisarz tego talentu, który przeżył ważną dziejową epokę, brał czynny udział w życiu publicznem, a nadto zostawał w osobistych stosunkach ze wszystkimi koryfeuszami naszej literatury współczesnej, pisarz tak wielostronny, nie mógł pominąć powieści współczesnej, obyczajowej i tendencyjnej.

Nie da się powiedzieć, aby w tym rodzaju okazał się, z punktu widzenia artystycznego, pisarzem pośledniejszej miary, ale ponieważ należał Kaczkowski nie powiemy do czcicieli, ale do chwalców bezwarunkowych tego co minęło; ponieważ upornie nie chciał zrozumieć, aby żywioły młodsze przynieść mogły jakąkolwiek użyteczną cegiełkę do tej budowy, w której on wszystko ryczałtem chciał zatrzymać, i wszystko za godne zatrzymania uznawał, ponieważ był człowiekiem temperamentu namiętnego, a indywidualności charakteru niezwyczajnej, więc trudno się dziwić, że mu przyszło przebrać miarę, i że o poglądach jego i tendencyi w tych utworach nie da się powiedzieć dużo ku jego chwale.

Jeszcze gdy idzie o życie prywatne społeczności, której dwa pokolenia: przedostatnie i ostatnie, ustawicznie z intencyą porównania przedstawia czytelnikowi, można się z nim zharmonizować do pewnego stopnia, chociaż i tu godziło się brać pod uwagę, że łatwiej umierać niż żyć

w warunkach ujemnych, a u niego starzy tylko z wdziękiem umierać umieją. Bądź-co-bądź „Wnuczęta” były i pozostaną jedną z ozdób naszej literatury powieściowej.

Ale co się tyczy życia publicznego, kierunków i prądów współczesnych, w powieści Kaczkowskiego — o tem wszystkiem powiedzieć można, że nie powinno to było w żadnym razie wyjść tak skarykaturowanem z pod pióra autora „Olbrachtowych rycerzy.” Tu już Kaczkowski fałszuje typy, przekręca fakta, i ostatecznie namiętne insynuacye doprowadzają go jak w „Rozbitku” naprzykład, do krzywdzącego nawet oszczerstwa.

Trzeba znać granicę i miarę tego co wolno jednostce. Można mieć swoje opinie zupełnie nawet wyłączone, można uważać siebie za postać przerastającą wszystko co dokoła nas żyje, ale w żadnym razie nie wolno dla dogodzenia uwidzeniom własnym, rzucać błotem na fakta i ludzi z tej jedynie racyi, że nam ci ludzie i te fakta nie przypadają do humoru, albo działają na nerwy.

Wogóle, aby młody typ męzki zasłużył sobie w powieści współczesnej Kaczkowskiego na charakterystykę przychylną, należy mu się koniecznie wylegitymować, że jest jakimś podkomorzycem przynajmniej; nie gardzi także żadnymi spadkobiercami tytułu rodowego, najpodejrzańszej chociażby inwestytury, i tego rodzaju kreacye są u niego zawsze wypieszczone, wychuchane; nie szczędzi mozołu, żeby im wyznaczyć rolę jeśli nie bohaterów, to przynajmniej ofiar nowego kierunku, chociaż przyznać wypada, że nie bardzo się takie wysiłki Kaczkowskiemu udają. Zato niechaj że mu się dostanie pod pióro proletaryusz, a choćby i syn szlachecki, ale mający krew w żyłach trochę zdrowszą niż jego bladzi panicze, a uczucie w sercu gorętsze niż termometr autora dopuszcza, można być pewnym, że go ureguluje przed końcem powieści ku całkowitemu obrzydzeniu niedosyć krytycznego czytelnika. Wogóle znać, „że wpoprzek sennej hecki” autora Rozbitka i Dziwożony zbyt wiele krążyło widziadeł, którym poetyczna wyobraźnia ich twórcy wbrew rzeczywistości i prawdzie nadawała krew i ciała ludzi żyjących.

Tutaj szukać należy zarodka waśni między autorem a współczesnymi.

Szeroko rozlała się ta waśń w swoim czasie, a rezultatem jej ostatecznym było rozdąsanie się Kaczkowskiego na żyjących, odsunięcie się od nich, a wreszcie ekspatryacya zupełna.

Twórczości literackiej z tego okresu jego życia dotykać nie będziemy, bo tu już wszystko o tyle pośledniejsze i niższe w stosunku do prac dawnych, o ile poślednią i niską sama w sobie była myśl zstąpienia z wyżyn działalności pisarskiej na poziom mizernych zabiegów pieniężnych.

„Kaczkowski człowiek idei, organizacya tak wyjątkowo hojnie uposażona, w dodatku bezpotomny dziedzic wielkich myśli, czyż on może zgarniać złoto dla samej miłości posiadania? Niepodobna! Ten temperament kapryśny, nerwowy może sobie boczyć się i zrzędzić, ale że on ma ideę swoją jakąś — wątpliwości nie podlega. Nie może być inaczej.”

Takich głosów było nie mało.

Pokazuje się jednak, że wszystko jest możebnem w pewnych chwilach! Wielki malkontent usunął się od swoich, pogardził społecznością własną, odwrócił się i zapomniał o tych, których zostawił tam gdzieś daleko, a że to był umysł niemal wszechstronny, więc przekonały rezultaty, iż nietrudniejszymi były dla niego tryumfy finansowe od powodzeń literackich. Przez ciąg lat kilkunastu z górą zgromadził ten ekscentryk fortunę wynoszącą na naszą walutę coś około dwóch milionów rubli.

Co z nią zrobił? Czy obmyślił wszystko w czasie właściwym, i czy rozporządził tym ogromem jak przystało na człowieka tej miary?

Są to niby okoliczności dotyczące życia prywatnego, ale z uwagi że indywidua tego co Kaczkowski znaczenia, nigdy zupełnie prywatnymi ludźmi być nie mogą, więc i tego ostatniego aktu jego działalności pominąć nam nie wolno w tej pośmiertnej charakterystyce.

Na łożu śmiertelnym przekazuje pan Zygmunt Pomian, oficer legii honorowej i Francuz jeśli nie urodzeniem to z prawa wyboru, całe mienie swoje jakiejś pani Pomianowej Francuzce z pochodzenia, osobie, o której nikt przedtem nie słyszał. A że zaślubiła ona starca na krótko bardzo przed śmiercią, więc z tego tytułu wolno się ogółowi domyślać w tej pani jakiegoś przedśmiertnego kaprysu eks-literata i eks-Polaka, który tyle nawet w tych ostatnich chwilach nie zachowuje ciążenia ku swoim, iż zamiast się kazać przewieźć do pradziadowskiej Bereznicy, poleca pochowanie zwłok swoich na cmentarzu Montmorency. Wreszcie co nam do tego kim jest ta kobieta.

Nie jako kłos dojrzały tedy, wedle słów poety, położył się Kaczkowski do snu wiecznego, ale niby liść zeschły poniesiony gdzieś na daleką ziemię.

Czy go tam burza jaka poniosła? Zapytają może kiedyś nieświadomi pobudek tego szczególnego zbiegowstwa.

Zapewne że burza, ale burza rozbujałego indywidualizmu, który mu pierś nurtował. Aż nadto wiele mamy po za sobą niestety przykładów tego grzechu pierworodnego, którego zaród przynieść musiał ze sobą na świat i Kaczkowski także.

*S.*

---

# PRACA KOBIET.

## II.

U nas, jak i wszędzie zresztą, główny kontyngens kobiet, poszukujących pracy, stanowią młode panny z rodzin inteligentnych.

Lekarz, urzędnik, technik lub handlowiec, wobec wzmożonej konkurencyi w dziedzinie pracy i utrudnionej walki o byt, zarabia dziś niewiele. Jeżeli jest bezdzietnym, lub ma dzieci małe jeszcze, dochody jego, jakkolwiek szczupłe, przy oszczędności żony, dobrym zarządzie i skromnych wymaganiach wystarczają jako tako na utrzymanie domu. W miarę tego jednak jak dzieci rosną, budżet domowy z niesłychanym wysiłkiem doprowadzony do równowagi, zaczyna się chwiać. Wykształcenie synów i córek wyczerpuje zwykle zasoby, niekiedy nawet tak wcześnie, że rodzice z bólem serca muszą się zrzec wymarzonej przyszłości dla swych dzieci, przerwać ich wykształcenie i pchnąć na drogę t. z. praktyczną.

Jeżeli ta chwila przełomowa nadchodzi wcześnie, to synowie, których ojciec widział w swych nadziejach lekarzami, inżynierami lub adwokatami, zwracają się ku rzemiosłom lub handlowi, córki zaś, otrzymawszy elementarne zaledwie wiadomości, zostają modniarkami, kwiaciarkami, krawaciarkami i t. p. Twarda rzeczywistość rozwiewa złudzenia.

Przypuszczając, że rodzice, przez zaparcie się i heroiczny wysiłek zdołają uczynić to, że dzieci ich kończą średnie zakłady naukowe (gimnazya), to położenie rzeczy nie wielkiej ulega zmianie.

Córki mają tylko możność zakosztowania pięknego, lecz niestety twardego i gorzkiego chleba nauczycielki.

W tym też kierunku najczęściej idą; silna jednak podaż wywołała tutaj obniżkę zarobków, oraz zdegradowanie nauczycielki nieledwie do rzędu najemnej służącej, które to zjawisko, niestety, zawsze prawie daje się obserwować w takich warunkach.

Z tych względów o nauczycielstwie nie zamierzamy wcale mówić.

Pozostaje trzeci wypadek, któremu odpowiadać będzie trzecia kategorya kobiet pracujących na własne utrzymanie.

Oto panna, pochodząca z zamożnej rodziny, otrzymuje wykształcenie wyższe, specyalne, w uniwersytecie zagranicznym, kieruje się na lekarkę lub przyrodniczkę.

Tutaj roztrząsać można jedynie kwestyę konkurencyi z mężczyzną i szanse znalezienia pracy.

Tak więc, względnie do środków materyalnych, jakiemi rozporządzają rodzice, nasze panny, poszukujące zajęcia, czyli praktyczne emancypantki dzielą się na trzy wybitne kategorye:

1) Panny bez przygotowania naukowego lub z elementarnemi wiadomościami, skromnych wymagań, nie obawiające się w ostateczności grubej nawet pracy fizycznej.

2) Panny z wykształceniem średniem, z aspiracyami do szlachetniejszego rodzaju zajęcia, nie wymagającego tyle sił fizycznych ile umysłowego uzdolnienia.

3) Panny uposażone względnie dobrze, które mają zamiar i możność sięgnąć po wyższą wiedzę specyalną.

Dla zachowania pewnego ładu musimy kolejno brać pod uwagę każdą powyższą kategoryę kobiet, i wskazywać najodpowiedniejsze dla każdej z nich rodzaje pracy.

We wskazówkach tych zamierzamy usunąć wszystkie złudzenia, sentymenty, gdyż chodzi nam o nagą choćby nawet przykrą prawdę, i ustrzeżenie naszych czytelniczek od daremnej straty drogiego czasu, i bolesnych a niebezpiecznych zawodów.

### *O nauce rzemiosł wogólności.*

### KATEGORYA I.

Do czego może się wziąć panienka ze średnio inteligentnej rodziny, mająca elementarne zaledwie wykształcenie i przyzwyczajona w domu do zajęć fizycznych.

Przedewszystkiem zaznaczamy, że kobiety należące do tej kategoryi, są najliczniejsze, tak samo jak mężczyzni.

Jakimż zawodom poświęcają się chłopcy z powyższemi kwalifikacyami? Przeważnie rzemiosłom i handlowi. Kobieta musi więc, nolens volens, pójść tą samą drogą, t. j. wybrać sobie jakie rzemiosło lżejsze, nie wymagające wielkiego wysiłku muskularnego.

Pomijamy tutaj rozmyślnie pracę fabryczną, we właściwym zakresie tego pojęcia, bo ta przypada w udziale sferom najmniej albo wcale nieinteligentnym.

Rzemiosło! Niestety, rękodzieła nie mają dziś żadnej przyszłości przed sobą, trzeba to wyznać otwarcie, że tracą one nawet u nas grunt pod sobą, a na dalekim Zachodzie zupełnie prawie zostały wyrugowane zwiększoną pracą fabryczną. Machina, obmyślana genialnie i przystosowana do jakiejś wyspecyalizowanej czynności, pracuje lepiej, taniej i prędzej od ręki ludzkiej; fakt to niezaprzeczony i trzeba się z nim pogodzić.

Jeżeli będziemy mówili o rzemiosłach, to tylko dlatego, że: 1) przemysł fabryczny nie zabije jeszcze tak rychło rękodzielnictwa *u nas*; 2) że niektóre rzemiosła wymagające pewnego artyzmu ze strony wykonawcy (modniarstwo, rysownictwo etc.), nieobawiają się jeszcze konkurencyi maszyny.

Będąc fizycznie słabszą od mężczyzny, kobieta wybiera naturalnie rzemiosła, wymagające raczej zręczności—gustu, aniżeli siły i wytrwałości.

Dlatego to widzimy najwięcej szwaczek, modniarek, krawaciarek, krawcowych, kwiaciarek — mniej nieco szewcowych, introligatorek, a nie spotykamy wcale stolarek, ślusarek, etc.

To już jest nie dobrem, bo skłania kobietę do rzucania się w kilku tylko kierunkach, i obniżania w tych gałęziach pracy zarobkowej, przez nadmierne zaofiarowanie rąk. Każdemu jest znaną smutna dola kwiaciarek i szwaczek, nie potrzebujemy więc rozwodzić się nad niedogodnościami, wypływającemi z ograniczania pola pracy kobiet przez same kobiety, a raczej ich naturę fizyczną.

Mniejsza o to jednak, istnieje bowiem dotychczas wiele rzemiosł, dostępnych teoretycznie dla kobiety, ale nie zawojowanych przez nią.

Zanim poradzimy kobietom do czego się mają brać, musimy im niestety powiedzieć, że nawet w skromnym i uznanym za właściwy dla siebie kierunku, nie umieją się uczyć, ani pracować.

Uczą się one i pracują, jeżeli nie dla zabawki i nie na żarty (i to się często zdarza) to z pewnością nie poważnie, a zawsze dorywczo. Pracę zarobkową uważają za tymczasową konieczność, od której uwolnić je może lada chwila... dobre zamążpójście.

Zamożny mąż, to perspektywa w danym wypadku jaknajujemniej wpływająca; miraż ten prześladuje kobiety wszystkich wymienionych kategoryj, bez ustanku i do bardzo późna, przeszkadza im pogodzić się z myślą ustalenia sobie bytu własnemi siłami, odwodzi od nauki gruntownej, od pracy solidnej, sumiennej, nie liczącej na względy, na współczucie, lecz tylko na swoją wartość.

To bilet na loteryę, gdzie grubych wygranych jest zaledwie jedna na tysiąc.

Kobiety, pragnące bytować niezależnie muszą najprzód wykreślić ze swej życiowej kalkulacyi bogatego, albo zamożnego męża, wtedy bowiem dopiero będą w stanie pracować, tak jak pracuje mężczyzna, którego czekają tylko ciężary i obowiązki, i który oswoił się od najwcześniejszych lat z tą koniecznością.

Jeżeli tego męża dostaną, nie stracą nic, w razie zaś przeciwnym łatwo im będzie obejść się bez tej naturalnej podpory.

Jak kobieta zmuszona do zarobkowania w rzemiośle przygotowuje się do niego?

Powiadamy otwarcie, że źle, niedokładnie, bo owe fata morgana małżeńskie przeszkadzają jej brać sprawę na seryo.

Chłopiec, dajmy na to, przyszły ślusarz lub krawiec, wstępuje w dziesiątym roku do terminu; przez dwa lata jest wyzyskiwany przez majstra i zastępuje sługę, przez drugie dwa spełnia najprostsze, podstawowe czynności, potem bardzo wolno awansuje, aby dopiero po óśmiu lub dziesięciu latach praktyki mozolnej zostać czeladnikiem, wykwalifikowanym zupełnie i rzetelnie w swym fachu.

Jeżeli chłopiec się poświęci handlowi, nauka nie jest krótszą ani praktyka mniej uciążliwą.

A kobieta? Ona w wielu razach idzie tą samą drogą, ale wtedy, gdy jest córką stróża, szewca, wyrobnika, czyli gdy nie należy do żadnej z naszych kategoryj. Panienka z inteligencyi uważałaby sobie za ubliżenie praktykowanie razem z dziewczętami tej klassy; rodzice jej zresztą obawialiby się, może słusznie, złych wpływów, nakoniec długa droga do marnej karyery odstrasza. A przecie pracować trzeba. Cóż więc czynić?

Takim panienkom zjawiają się tu z pomocą szkoły rzemiosł, których obecnie posiadamy wielką liczbę.

Dowiadują się one z ogłoszeń z żywą radością, że za opłatą śmiesznie małą, bo 15 lub 25 rs. można w przeciągu trzech miesięcy nauczyć się kroju sukien i szycia, strojów, szewctwa, introligatorstwa, krawaciarstwa, fotografii, retuszowania, ba! nawet malowania na drzewie, porcelanie i atłasie!

Tylko trzy miesiące! Boże! Jakie to szczęście! W tak krótkim przeciągu czasu przy kilkogodzinnem zajęciu codzień, zdobyć sobie można środki do uczciwego zarobkowania.

Ojciec, któremu uśmiecha się nadzieja ulgi, z wysiłkiem płaci zapis i córka jego przystępuje do nauki.

Skończywszy kurs, panienka jest przekonaną, że przyswoiła sobie wszystkie arcana swojego rzemiosła. Z godną zazdrości pewnością siebie, wywiesza w oknie napis: „*Tu się ubiera kapelusze,*" „*Fabryka kwiatów,*" lub „*Przyjmują się książki do oprawy,*" i rozpoczyna werbowanie klienteli.

Za pośrednictwem usłużnych znajomych, kuzynków, braci, otrzymuje robotę i tryumfuje.

Mężczyzna musi się uczyć przez dziesięć lat introligatorstwa lub krawiectwa, a ona, dzięki czysto kobiecej zręczności i intuicyi dochodzi do tych samych rezultatów, co on w przeciągu trzech miesięcy.

Płeć piękna górą!

Aliści tak świetnie zapowiadające się z początku powodzenie, zawodzi. Klientki, które oddały za rekomendacyą lub namową suknie do wykończenia nowej pracowni, zakładają pretensye, są niezadowolone i poprzysięgają sobie, że na drugi raz zwrócą się gdzieindziej; właściciele książek oprawionych krzywią się, oglądając je; młodzieńcy nie mogą nosić krawatów bo te źle leżą, lub mają jaką inną wadę—słowem, napędzona przez stosunki przygodne klientela szybko się usuwa. Pracownia wegetuje czas jakiś, nareszcie właścicielka zwija ją, narzekając na konkurencyę i nieprzychylność znajomych.

Nie przychodzi jej wszakże na myśl, żeby szukać przyczyny niepowodzenia we własnej nieudolności; gdyby jej kto powiedział, że nie ma w rzeczywistości pojęcia o gruntownej robocie, że nie potrafi wykonać obstalunku, że nie zna swego fachu, że szkoła, w której go się uczyła, jest zakładem, służącym do rozrywki, albo dla sportu panienkom chorującym na samodzielność, to obraziłaby się śmiertelnie.

Tego, ktoby jej bez ogródki dowodził, iż niepodobna wyuczyć się żadnego rzemiosła w trzy miesiące a choćby w cztery, nazwałaby nieprzyjacielem kobiet. A jednak te wszystkie gorzkie twierdzenia byłyby niestety do pewnego stopnia słuszne.

Czy można winić szkoły rzemiosł o to, że wypuszczają uczennice, nieznające fachu, w którym się chciały wydoskonalić? czy są to zakłady obliczone na wyzysk nieświadomych?

Trudno nam wyrzec potępiający wyrok, boć te szkoły, zakładane przed kilkunastu laty, w czasach, kiedy pomiędzy kobietami zaczęło się objawiać dążenie do zarobkowania, mogłyby być zupełnie czem innem, gdyby kobiety chciały pracować na seryo i gdyby się decydowały poświęcić na naukę tyle czasu, ile tego wymaga potrzeba.

Napotkawszy pomiędzy kandydatkami przeważną liczbę panienek, traktujących naukę rzemiosła jako rozrywkę, sposób podobania się, a w najlepszym razie obawiających się długiego przygotowania i goniących za lekkim zarobkiem, szkoły te musiały do pewnego stopnia przystosować się do publiczności i przedzierzgnąć się w miejsca, gdzie się parodyuje pracę.

Właścicielki tych szkół, jak wszyscy przedsiębiorcy, szukają zysku, i niepodobna im się dziwić.

Nie robią one przecie świetnych interesów, bo wpisy są stosunkowo bardzo skromne, a powtóre dlatego, że *moda* uczenia się rzemiosł jakoś mija.

Powiadamy *moda*, bo wiele panienek, z zamożniejszych nawet domów, uczęszczało do nich z początku, po to tylko, żeby zamanifestować swe skłonności emancypacyjne. Kiedy jednak liczba uczennic z innych sfer wzrosła, tamte panienki usunęły się; dziś jak nam się zdaje, interesowani przychodzą do słusznego wniosku, że czas przepędzony w szkole rzemiosł należy uważać za stracony, jeżeli naturalnie uczennica, po skończeniu kursu nie ograniczy się do pracy dla rodziny i dla siebie, i to właśnie wpływa na zmniejszenie się ich frekwencyi.

Gdyby tak zebrać statystyczne dane, ile szkoły rzemiosł wypuściły uczennic wykwalifikowanych, to doprawdy, należałoby przypuścić, że co druga kobieta u nas utrzymuje się z pracy rąk.

Jeżeli tak nie jest, to dlatego, że na dziesięć uczennic zaledwie jedna czegoś się nauczyła, i szczupły swój zasób wiedzy praktycznej zużytkowała.

Musimy zatem poradzić biorącym rzecz na seryo czytelniczkom, aby się nie uczyły rzemiosł w szkołach, dopóki te nie zreformują się i nie będą spełniać sumiennej swego zadania, co niezawodnie nastąpi.

Gdzież się więc uczyć jeżeli nie tam? Czy ślęczeć przez dwa lata za darmo w jakimś magazynie lub pracowni i potem mozolnie dobijać się skąpej pensyi? przestawać ze źle wychowanem

częstokroć wątpliwej moralności dziewczynami z gminu?

Ha, jak na dziś droga to jedynie prowadząca do celu. Można do pewnego stopnia skrócić ją, uniknąć niedogodności, płacąc za naukę. W tym wypadku za jakieś kilkadziesiąt albo sto rubli, po roku lub dwóch najwyżej, można się *przy dobrych chęciach* i *pilności* wykwalifikować rzeczywiście w danem rzemiośle.

Ten system ma jeszcze inne zalety. Oto pozwala obierać drogi mniej utarte, a więc prędzej i pewniej prowadzące do celu.

W tym kierunku pragniemy dać wskazówki naszym czytelniczkom. Zrobimy przegląd rzemiosł dostępnych dla kobiety, i wskażemy sposoby, jak można się ich nauczyć sumiennie z najmniejszym nakładem pracy i kosztów.

Zaczynamy od rzemiosł, albowiem nie wymagają one wykształcenia przygotowawczego w tym stopniu, co na przykład handlowość, i są najwłaściwszem polem dla kobiet pierwszej kategoryi.

*Veredyk.*

---

Klemens Junosza.

# CURICULUM VITAE.

(KARTKA Z PAMIĘTNIKA).

(Ciąg dalszy).

Konkury moje wypadły na bardzo późnej jesieni, prawie na początku zimy i trwały do świąt Bożego Narodzenia.

Tak, data dokładna, gdyż dano mi odkosza w dzień świętego Szczepana męczennika, 26-go Grudnia.

Już nie będę opowiadał, jak się oświadczyłem. O zmroku to było, przed zapaleniem lamp, tylko ogień na kominku płonął, to gasnął, to znów się wzmagał rzucając blaski niepewne.

Nie powiem żeby to była pora niedogodna do oświadczyn. Owszem, w takiem świetle dziwacznem gładziej to idzie.

Wypowiedziałem co czułem, chociaż żeby mi na to kazali przysiądz, nie chciałbym. Suche to, czarne, złe, ale cóż miałem robić? Oświadczyłem się.

— Wie pan — odrzekła, — w zasadzie możebym i nie miała nic przeciwko temu, sądzę jednak, że dwie gospodynie w jednym domu, byłoby za wiele.

— Proszę pani — odrzekłem, — matka moja jest kobieta nie młoda i schorowana, nie wtrąca się ona do niczego, czasem chyba coś poradzi i to tylko wtenczas, kiedy jest o radę proszona.

— Ja też — odrzekła, — nie miałam pańskiej mamy na myśli.

— Więc?

— Przecież pan wiesz!

— Dalibóg nie wiem.

— Żarty!

— Ależ pani, ta chwila nie jest odpowiednia do żartów. Tu chodzi o szczęście całego życia.

— Rozumiem to doskonale i dlatego właśnie powiadam, że dwie gospodynie w jednym domu to za wiele, a przecież pan masz ustaloną sławę dobrej gospodyni.

Odjechałem.

Odjechałem zły z przyczyny doznanego zawodu, lecz z innego znów względu kontent i mogę to powiedzieć, że jednem okiem płakałem, a drugiem śmiałem się... bo chociaż Mania, dziewczyna ostatecznie nie nadto szpetna, chociaż posażna i podobno dobra gospodyni, chociaż jak mama mówiła, mogłaby uszczęśliwić człowieka, jednak, szczerze mówiąc, wolałem, że to szczęście spotka kogo innego, a nie mnie.

Po naradzie z matką postanowiłem szukać panny w mieście. Tam ich przecież nie brak, widuję je nieraz w dzień świąteczny popołudniu, wyroją się na ulice jak pszczoły, a każda wystrojona, elegancka, wyperfumowana aż dusi.

Strach taką lalkę, pod ubogą strzechę wieśniaczą wprowadzać, ale w mojem nieszczęśliwem położeniu co robić? Jaki punkt wyjścia znaleźć? Trzeba przecież ożenić się kiedyś, mieć własne ognisko domowe, własną rodzinę. I matka tak mówi, i ja sam to czuję, że wiekuistym kawalerem być nie można, że zawsze człowiek żonaty inszą minę ma, że jest poważniejszy, stateczniejszy, posiada większe prawa do ludzkiego szacunku i poważania.

Nareszcie, chciałbym także, aby uczciwe nazwisko nie zaginęło, aby ten biedny mająteczek dostał się komuś bliższemu, nie zaś dalekim krewnym, którzy już teraz rozpoczynają do mnie umizgi, jak gdybym był sędziwym wujaszkiem skazanym na dożywotnie starokawalerstwo.

Nic z tego, powiedziałem sobie, mnie żona, krewnym figa, dzieciom moim dziedzictwo.

I trzeba takiego zdarzenia, że pannę Marcelinę poznałem na wieczorku u znajomych, zaraz tego samego dnia, kiedy przyjechałem do miasta, z zamiarem zawiązania odpowiedniej znajomości. Trzeba takiego zdarzenia, że panna Marcelina odrazu wywarła na mnie nadzwyczajny urok; nie była ona taka jak tamta pierwsza, wielka okazała blondynka, ani jak tamta znów druga, szczupła brunetka, ale taka sobie średnio, w samą miarę, ani brunetka, ani blondynka, tylko szatynka.

Rozmawiałem z nią dużo i, jak mi się zdawało, zdołałem jej się przypodobać, i nie tylko jej ale jej ojcu. Prosił żeby u nich bywać, co też przyrzekłem i obietnicy dotrzymałem zaraz na drugi tydzień.

Poszedłem w nowym garniturze, z nadzieją w sercu, że skończy się nareszcie czas moich utrapień, i że znajdę nareszcie to do czego tęskni moja dusza od tak dawna.

Jeżeli powiedziałem, że panna podobała mi się, to powiedziałem za mało, ja byłem nią zachwycony, zakochałem się w niej tak dalece, że już nic nie zajmowało mojej myśli tylko ona, ona jedna, bezpodzielnie.

Mogłem też mniemać, że uczucie moje nie było bez wzajemności. Ile razy przyszedłem, witała mnie przyjaznym uśmiechem i uściskiem dłoni, rozmawiała ze mną chętnie o różnych przedmiotach, widocznie miałem do niej szczęście.

Tak... już powiedziałem do czego ja mam specyalne szczęście. I to jeszcze dodać muszę, że wszelkie dotychczasowe niepowodzenia moje i nieszczęścia mogłem przynajmniej nazwać po polsku, to ostatnie zaś miało się nazywać po łacinie.

Trzeba specyalnego szczęścia. Ojciec panny Marceliny był to szanowy staruszek, miał blizko siedmdziesiąt lat. Siwy, szczupły, wygolony starannie, zawsze ubrany czarno, wyglądał jak senator, chociaż był tylko assesorem na emeryturze. Pedant, formalista, prawnik, istny mól zasuszony w bibule, palił namiętnie cygara po sześć groszy i pijał kwaśne wino węgierskie, dowodząc, że ani lepszego, ani bardziej pożytecznego dla zdrowia trunku nie było, nie ma i nigdy nie będzie na świecie.

Chwaliłem owe piekielnie mocne cygara, delektowałem się kwaśnem winem, od którego aż mnie porywały dreszcze, bo czego człowiek zakochany dla swej bogdanki nie zrobi; zabawiałem staruszka rozmową, o rzeczach poważnych. To jest właściwe, on rozmowę prowadził, ja zaś słuchałem, kiwałem głową, potakując, uśmiechając się, stosownie do okoliczności; czasem w porę, czasem nie w porę, jak się zdarzyło. Szło to jednak jakoś.

Podczas pierwszej wizyty była mowa, przez grzeczność dla mnie zapewne o pogodzie i o gospodarskich kłopotach, na drugiej dyskurs kręcił się koło hypoteki. Nie znam ja cudzych hypotek, ale moja własna obca mi nie jest, umiem ją na pamięć, co zresztą nie trudno, bo taki tytuł własności jasny jak szkło, bo dziedziczny, od pradziadka, opisanie granic nic łatwiejszego. Jeden kawał, figura prostokątna, cztery strony, służebności i ścieśnień żadnych, długów żadnych, nawet towarzystwa. Radcą być nie chcę, wybierać nikogo nie myślę, ten będzie czy ów, to mi wszystko jedno, bylem ja rat nie płacił i ciężarów na karku nie miał.

Wypowiedziałem to z ogniem, jednym tchem, tak jak myślę, szczerze o ile mogłem wnioskować pogląd mój na sprawy hypoteczne podobał się panu sędziemu, bo sędzią nazywano staruszka.

Gdy przybyłem z trzecią wizytą, panny Marceliny nie zastałem, był tylko sam ojczulek jej, palił cygaro i dla rozrywki zapewne czytał grubą księgę pod tytułem „kodeks kar głównych i poprawczych."

Zobaczywszy mnie, przywitał, poprosił siedzieć i rzekł:

— Doskonale się stało, żeś pan przyjechał, właśnie Marcelka wyszła i dopiero za godzinę wróci, będziemy więc mogli bez przeszkody pogawędzić ze sobą szczerze, we cztery oczy.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

---

# Nasi najmłodsi.

(Ciąg dalszy)

IV.

A oto znowu ukazuje nam się postać nowa, indywidualność zupełnie odrębna, śpiewak o niezbyt obszernej skali tonów nadzwyczajnie miękkich, melodyjnych, z duszy i o duszy własnej snujący pieśń.

Kazimierz Tetmajer jest subjektywistą, dla którego świat zewnętrzny nie istnieje prawie, a to co się z niego w pieśni jego odzwierciadla, otrzymuje zabarwienie w wysokim stopniu indywidualne. Zapatrzony w głąb duszy własnej wypowiada poeta jej zmienne nastroje chwilowe

maluje wizye, które się jej jawią. Posłuchajmy tego śpiewu, przypatrzmy się tym widzeniom.

„Melancholia, tęsknota, smutek, zniechęcenia są treścią mojej duszy."

Wyznanie to powtarza poeta w każdej niemal strofie swoich pieśni, przepojonych do głębi jadem zwątpień. Do odmalowania tego stanu duszy używa to jaskrawszych, to łagodniejszych barw. Chwilami skłonnym jest całą odpowiedzialność za tę wewnętrzną rozterkę swoją zło żyć na życie: „Życie — to zwykłe życie ciche, szare — kiedy mnie w swoje chwyciło ramiona, jak wampir z duszy mej wyssało wiarę, tę krew, bez której dusza schnie i kona."

Głębszym jednak i szczerszym wydaje się, gdy mówi:

„Dawniej się trzeba było zużyć, przeżyć,
By przestać kochać, podziwiać, i wierzyć;
Dziś — pierwsze nasze myśli są zwątpieniem,
Nudą, szyderstwem, wstrętem i przeczeniem.

Dzieci krytyki, wiedzy i rozwagi,
Cudzych doświadczeń mając pełną głowę,
Choćby nam dano skrzydła ikarowe,
Nie mielibyśmy do lotu odwagi.

My nie tracimy nic, bośmy od razu
Nic nie przynieśli — i tylko nam bywa
Tak źle, że na złe takie brak wyrazu,
A serce pęka w nas i we krwi pływa."

Choć poeta słowami temi zcharakteryzować pragnie niemoc całego pokolenia swego, wątpić nie można, że przedewszystkiem odnosi je do siebie. Dusza jego, w której nie ma miejsca na miłość i wiarę, wypełnia się pessymizmem krańcowym: „Wszystko jest marne, podłe, złe i wstrętne, nie ma na świecie nic, nic, coby było cokolwiek warte! Świat jest błota bryłą, rzuconą w wody nieprzejrzanie mętne." Chwilami ogarnia go tęsknota za spokojem, za ciszą, za jakąkolwiek przystanią, jak rozbitka nie widzącego dokoła nic, prócz niezmiernej pustyni wodnej. Zazdrości tym, którzy posiadają wiarę w jakiekolwiek ideały. „Chciałbym uwierzyć, lecz wierzyć nie mogę, i coraz większa pustka jest przedemną, oczom mej duszy coraz bardziej ciemno. Dokąd iść? Nie wiem — zgubiłem mą drogę..."

Tego rodzaju skargi, wybuchy rozpaczy, okrzyki bólu są w poezyi Tetmajera niby motywem głównym, powracającym nieustannie. Chwilami jednak motyw ten przechodzi w coś zupełnie innego, w zapał dla sztuki, w zachwyt nad pięknem przyrody, w jakąś omdlałość mistyczną, w palące pragnienie rozkoszy.

„Jedno mam tylko pragnienie: rozkoszy, bo rozkosz tylko wiedzę ćmi i zgłusza, energię myśli gnie, zadumę płoszy, a nieszczęśliwą jest ważąca dusza." I wpada poeta w erotykę, której zmysłowość wyrafinowana, właściwa przeżytym rasom Wschodu odbija jaskrawo od wszystkiego cośmy dotąd w poezyi naszej spotykali. Ale i użycie zmysłowe nie zadawalnia snać poety, nie daje mu zupełnego zapomnienia. Dusza jego zawsze jeszcze czegoś pożąda, rwie się ku czemuś nieznanemu wiecznie niespokojna i udręczona. Szał przechodzi w rozmarzenie mistyczne: „Cicho i wolno jak mgła, co się z rana z nad łąk podnosi przy lekkim powiewie wschodniego wiatru i w przestrzeń ulata: tak nieraz myśl ma tęskna, zadumana, podobna z nad mórz wzlatującej mewie, wznosi się w przestrzeń nieziemskiego świata." I wędruje poeta nad przepaści tatrzańskie, by głębiej, silniej czuć nieskończoność. „I myśl ma wpływa cicha, zadumana w jakąś głąb pustą, milczącą, tajemną, i zdaje mi się, że tajny duch świata w mistycznych echach mówi wówczas ze mną." I tak przechodząc od ostateczności do ostateczności, burzami walk i zwątpień miotany duch poety pożąda wreszcie spokoju, ciszy, niebytu. Nirwana pociąga go ku sobie. Ale jego pojęcie Nirwany, mało ma wspólnego z koncepcyami filozofów Indyj. Dla Tetmajera Nirwana to postać niewieścia o „twarzy martwo bladej, ściągłej z blademi usty i czołem z marmuru." Z postaci tej wydziela się jakaś senność, która stopniowo przenika ducha, i daje mu nieistnienie.

Takiej senności pragnie duch dla którego wiara religijna, wiara w postęp, w przyszłość, cnota, miłość ludzkości, miłość kobiety, wreszcie sztuki i sławy, są tylko wyrazami oznaczającymi rozliczne złudzenia umysłu ludzkiego. Bo nawet sławie, bóstwu artystów wszystkich nie hołduje poeta statecznie. Rzuca wprawdzie głośny okrzyk: „Cóż jest na świecie prócz sławy, co warte? Eviva l'arte!" W innem miejscu jednak czytamy, że i sława jest rzeczą marną o którą ubiegać się nie warto.

Jedynem zdaje się w duszy Tetmajera uczuciem, którego jad pessymizmu nie zatruł, jest miłość przyrody. Prześliczne też dobywa tony, ile razy w tę strunę uderzyć mu się podoba. Przyroda Tatr rodzinnych zaczarowanem słowem do duszy jego przemawia, góry zdradzają przed nim tajemnice swoje, życie ich jawi się przed nim w fantastycznych obrazach. Taka *Melodya mgieł nocnych nad Czarnym Stawem*, jakiż to oryginalnej, bogatej fantazyj twór:

„Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
Co nam ciała przezrocze tęczą blasków nasyca,
I wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
I limb szumy powiewne, i w świerkowym szept borze.
Pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór kwitną,
Dźwięczne, barwne i wonne, wgłąb wzlatujmy błękitną.
Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona
Lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona,
Puchem z mlecza się bawmy i ćmy błoną przezroczą,
I sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg toczą.
Nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci,
Jak my same i w nikłe oplątajmy go sieci..."
i t. d.

Jest to, jak z okoliczności obrazów Witkiewicza wyraża się Prus, dar podpatrywania rzeczy nadzwyczajnych, dziejących się w przyrodzie.

I tak przechodząc od nastroju do nastroju, od jęków pessymistycznych do odczuć nieskończoności, do upojeń miłosnych, do tajemniczych zjednoczeń z nastrojami przyrody, snuje Tetmajer pieśń duszy własnej. Najmniej oryginalnym i najmniej poetą jest w nieskończonych skargach na bóle szarpiące tą duszą. Pessymizm to stara piosenka. Wtargnął on do literatury XIX wieku taką potężną falą, że dziś już nawet przy wielkim talencie trudno jest motyw ten oddać w sposób nowy, oryginalny.

W utworach Tetmajera, które ukazały się już po wydaniu *II seryi poezyj* o wiele mniej spotykamy wykrzykników pessymistycznych. Po okresie młodzieńczego fermentu daje się czuć już uspokojenie pewne.

W jakim kierunku popłynie dalej fala twórczości Tetmajera, przewidzieć trudno. Niewątpliwem za to zdaje się być, że pieśń tak bezpośrednio, z taką łatwością dobywająca się z głębin duszy, nie zcichnie wprędce, że melodya jej spotężnieje w przyszłości, a może nawet przybierze świeże, obce jej dotąd akcenta. Tajemnicza lira, w której śpiew wsłuchany poeta, mówi:

„Idzie na pola, idzie na bory,
Na łąki i na sady,
Na siwe wody, na śnieżne góry,
Na miesiąc idzie blady,
Idzie w niezmierną otchłań wszechświata
Zkąd blask dróg mlecznych prószy,
Idzie błękitna, cicha, skrzydlata,
Muzyka mojej duszy..."

Ta lira długo jeszcze zapewne melodyjnym dźwiękiem odzywać się będzie.

Prócz poezyj lirycznych *Serya II ga* zawiera jeszcze fantazyę dramatyczną p. t. „Sfinks," na której bardzo wyraźnie odbił się wpływ Maeterlincka. Zgodnie z zapożyczonem u tego ostatniego przeświadczeniem, że rozmaite półświadome stany ducha są tylko „z tajną siłą naszej duszy rozmową tajnych dla nas sił natury" wprowadza Tetmajer do dramatu swego tajemnicze wzburzenia przyrody, szmery, szelesty, których przyczyna wyśledzić się nie daje i t. p. Powiedziałabym jednak, że pochwycił raczej formalną stronę mistycyzmu Maeterlincka, zapożyczył u niego efekta, w istocie rzeczy zaś pozostał od od niego dość dalekim.

*H. C.*

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

# Zawody, profesye i powołania.

Jest szkoła liberalna bardzo zresztą szanowna, która stanowczo potępia wszelką, aby powiedzieć jasno i dobitnie arystokracyą zajęć i professyj, która z tego tytułu ostro bardzo obchodzi się z przeszłością całą, stawiając tę ostatnią pod zarzutem wstecznictwa, powodowania się we względzie obioru powołania grzesznymi przesądami, zniesionymi jakoby doszczętnie przez postęp wszechpotężny.

Wyznajemy szczerze, że zapatrywań tej szkoły podzielać nie możemy.

Z jednej strony wierzymy szczerze, że może jednostka ludzka wnieść ze sobą w sferę naj-

mniej nawet moralną swoją własną etykę doskonalszą od tej, która tam obowiązywała do tej pory, że tą a nie inną drogą spełnia się na świecie puryfikacya wszelkich augijaszowych stajni, ale przy tem nawet głębokiem przekonaniu nie wolno nam zamykać oczu na konieczności nieodłączne od tego, czego w danej chwili dokazać może człowiek, w zetknięciu z korporacyą—bezwzględna mniejszość z bezwzględną większością—duch reformy w walce ze złem zakorzenionem.

A więc są zawody i zawody—są zajęcia, profesye i powołania—jedne zaszczytne same przez się, inne, których stronę dodatnią całą stanowi zysk materyalny—jedne wymagające ofiar i poświęceń na rzecz ogółu — drugie wyzyskujące ten ogół na korzyść jednostki. Innemi słowy: jedne są w zasadzie moralniejsze—drugie mniej moralne, bo ostatecznie do takiego pryncypalnego rozróżnienia uciec się wypadnie koniecznie, jeśli komu pożądaną i miłą jest prawda.

Tymi względami powodowały się społeczności dawne, które dzieliły profesye na szlachetne i nieszlachetne; z tego punktu zapatrywania wychodził i wychodzi każdy zapytujący się pierwej o nazwisko i zajęcie człowieka, zanim zapyta o jego wartość osobistą.

Można takiej metodzie dochodzenia do opinii o człowieku mieć to i owo do zarzucenia, ale potępić jej bezwzględnie nie godzi się, bo w każdym razie obowiązującą jest jakaś harmonia między zasadami wyznawanemi, a obranym sposobem zarobkowania, chyba, że taka profesya jest narzuconą przez siłę wyższą — przymusową. I tu jeszcze przyjść muszą w rachunek wstręty nieprzezwyciężone i konieczność odrzucenia przez człowieka charakteru tego co przekonaniom jego jest wbrew przeciwne i ubliżające.

Niepodobna przecież pogodzić charakteru kapłańskiego z frymarkiem jakimkolwiek, nie możemy sobie wyobrazić pedagoga szynkującego wódkę, ani poety uprawiającego lichwę, tak jak prostota, szczerość i odwaga żołnierza wydaje się każdemu zupełnem przeciwieństwem palestranckiej chytrości. A ztąd jasno wypływa, że z jednej strony, każdy z tych zawodów wymagał osobnych uzdolnień, talentów i skłonności człowieka, a z drugiej, że wytworzona tym sposobem przez szereg lat przeciętna, obowiązująca etyka w każdym zawodzie, zapewniła mu w następstwie większe lub mniejsze poważanie; rozumie się biorąc za miarę dążności, charakter i zasady, któremi się dana społeczność rządziła.

Niemowlęcymi też wydawać się muszą koniecznie sądy współczesnych, stawiające przeszłość narodu rycerskiego w stanie oskarżenia za to, że przodujący w nim nie równouprawniali stanów, że upośledzali i poniżali rozmaite professye, kładąc przez to tamę rozwojowi naturalnemu i ścieśniając wolę i skłonności jednostki.

Istotnie dziecinną wydać się musi pretensya wystosowana do żołnierza o to, że że z ukosa spoglądał na tego, który kupczył, ważył i mierzył, podczas gdy tamten narażał życie i mienie, że lekarza traktował jako procedernika, a za aptekarzowanie pozbawiał przywileju. Nie mogło być inaczej tam, gdzie moralność handlarzy uznaną została za najdowolniejszą, a gdzie lekarzem bywał szarlatan prawie zawsze, a aptekarz jego pomocnik, niższym się jeszcze od swojego pryncypała posługiwał kodeksem.

Ultra-demokratyczne dążenia amerykańskie naszej epoki chciały odrazu zniwelować, równouprawnić i wyrównać, ale nie można powiedzieć, żeby im się to powiodło w zupełności. Francuzkie wyrażenie „Il n'y a pas de sot metier" cynicznie niesłychanie, wykazuje jawnie, że wszystko dobre, byle było zyskownem i dlatego do przekonania wszystkich ludzi trafić nie może. A więc dzielić się muszą i dzisiaj opinie tak, jak dzieliły dawniej—poszukuje i człowiek współczesny prawdy, tak dobrze jak poszukiwali ci, którzy oddawna nie żyją, z tą wszakże na korzyść chwili obecnej różnicą, że nie ma już dzisiaj tyle sądów namiętnych co niegdyś, że opinia stara się zdobyć grunt pozytywny—oprzeć na faktach—zebrać materyał dowodowy.

Oczywiście zadanie takie wziąść musiała na siebie koniecznie nauka.

Czy jednaką jest moralność wszystkich zawodów, zajęć i professyj? Oto pytanie.

Niejakie odnośnie do tej kwestyi wyjaśnienia daje praca uczonego francuzkiego pana Tarde, złożona kongresowi antropologii kryminalnej, który się zebrał w roku bieżącym w Genewie.

Praca opiera się na danych statystycznych i dotyczy tak zwanej kryminalistyki zawodowej.

Odtrącamy z jej autentyczności to, co na niedokładność wszelkiej pracy statystycznej odtrącić wypada, ale jakkolwiek wyniki badań dotyczą wyłącznie społeczności francuzkiej, jakkolwiek wiadomo, że większość czynów występnych pozostaje w cieniu, bądź-co-bądź cyfry są cyframi i ani ich brać na wywrót, ani przejść obok nich obojętnie nie można.

Otóż z archiwów sądowych francuzkich okazało się, że na 10,000 spełnionych przestępstw przypada 0,84 na grupę rolną
1,00 na grupę handlujących
1,32 na grupę przemysłową
reszta professye wolne (professions liberales).

Ta ostatnia grupa jako uogólniona zbytecznie rozkłada się w ten sposób wedle udziału w przestępstwach:

| | |
|---|---|
| Duchowni | 0,71 |
| Profesorowie i nauczyciele | 1,58 |
| Lekarze | 1,86 |
| Aptekarze | 3,79 |
| Artyści | 4,02 |
| Literaci i uczeni | 4,49 |
| Urzędnicy pocztowi | 7,45 |
| Osoby pielęgnujące kobiety słabe | 8,60 |
| Notaryusze, adwokaci i komornicy | 28,13 |

Sofizmatami nie przeprzeć chyba tych cyfr i ostatecznie bliższymi prawdy byli i są ci, którzy rozróżniali ludzi wedle ich zajęć, niż tacy, którym się podoba utrzymywać, że nie ma professyj szlachetnych i nieszlachetnych.

*K.*

---

*Antoni Miecznik.*

# OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

W ogrodzie całe towarzystwo rozeszło się na wszystkie strony. Pani Kajetanowa przechadzała się z panią Antoniewiczewą około zasianych grządek, coś jej głośno tłómacząc. Panna Antoniewiczówna ze swoją kuzynką prowadziła, spacerując po środkowej alei, jakąś ożywioną rozmowę przerywaną co chwila głośnymi wybuchami śmiechu. Obie młode kobiety kochały się bardzo, obie wesołe i żywe nie zwracając uwagi na innych, zajęte były tylko sobą.

Ohanie więc, naturalną koleją rzeczy, dostała się w udziale pani Helena.

Słońce stało już na samym skraju widnokręgu, obrzucając ziemię ciemną i brudną złotymi promieniami, które ślizgając się i pełzając, niby pasmami ognistemi zdawały się ją zasnuwać. Wysokie konary rozłożystych akacyj sterczały nagie i martwe, powiew wiosny nie zbudził ich ze snu, nie przyodział w zieloną, mglistą szatę szmaragdowych listeczków. W powietrzu czuć było tę charakterystyczną woń wiosennej pory roku, co to niby bez zapachu właściwego, mile jednak drażni zmysły wilgocią swoją.

Szli w milczeniu czas jakiś; ani on, ani ona nie umieli znaleźć na razie zdania odpowiedniego, któreby się nadawało do rozpoczęcia rozmowy, obojgiem owładnęło wzruszenie, którego się pozbyć nie mogli. To spotkanie w Wysokiej, w tej samej Wysokiej, gdzie przeżyli najpiękniejsze lata młodości, przenikało ich rodzajem rzewności nieokreślonej.

Razem, jakby powodowani jednocześnie tem samem pragnieniem, skierowali swe kroki ku szarzejącej w oddali alei akacyowej. Drzewa nagie wyciągały w fantastycznych załomach konary i gałęzie swoje hen ku górze, przecinając na wschodzie jasne niebo w różnych kierunkach czarną siatką, przez którą przeglądała dal stepowa.

— Jak tu jest smutno teraz — zaczęła pierwsza młoda kobieta, i z piersi jej się wyrwało lekkie westchnienie. — Ani jednego listeczka, ani odrobinki zieleni, wszystko jak w zimie nagie, ciemne i szare.

— Co do mnie, pani, to ja od przybycia do Nikoreszt żyję innem życiem; wiosenna przeszłość moja zmartwychwstaje. Zdarza się często, że zapominam o całym tym okresie mego istnienia, jaki spędziłem na obczyźnie, tam daleko na Wschodzie, wśród obcych mi duchem, myślą i wszystkiem.

— Czy pani to rozumie? — mówił dalej głosem namiętnym, choć cichym.

— Rozumiem — wyrzekła wolno i oczy swe palące się jakimś nieujętym czarem podniosła na niego. — Rozumiem, bo i ja chwilami tak żyję.

— Upajam się temi wspomnieniami — mówił dalej Owanes, — one są poezyą, prawdą, istotą

mego żywota. Wie pani, jakbym ja się czuł samotnym, gdybym je utracił, gdybym widział, że się rozwiewają i zanikają, gdybym sądził, że są zasuszonym kwiatem, któremu barwa nie wróci już nigdy.

Na twarzy jej śniadej rozlał się rumieniec delikatny, jak jutrzenka, wzruszenie zaczynało ją opanowywać. Słuchała tego człowieka, a każde słowo jego wdzierało się gwałtownie do głębi jej duszy i rozpłomieniało nagromadzone tam zarzewie wspomnień młodości.

A on mówił dalej, tak samo, odbierając odpowiedzi raz krótkie, to dłuższe znowu, pełne tych uczuć ukrytych, które on jeden tylko rozumiał. Doświadczał w tej chwili, chodząc z nią po tej pustej, zimnej, nagiej alei dziwnej rozkoszy. Oto zdało mu się, jakby ta Helcia dawna wracała mu się, i stawała przed nim taka sama, urocza, czarowna jak niegdyś.

Zmęczeni trochę przechadzką usiedli na ławeczce małej, stojącej przy klombie, zasadzonym krzewami berberysów, bzów i spirej.

— Gdyby pani wiedziała — mówił, — ile mi wrażeń nieocenionych daje ta dzisiejsza wizyta moja w Wysokiej.

— Nie odpowiedziała nic, więc on ciągnął dalej:

— Zdaje mi się, że to życie z przed dziesięciu laty powraca znowu, że ja jestem tym samym Owanesem, a pani tą samą Helcią, że to my ci sami, którzy niegdyś chodziliśmy po tych alejach razem, wesoło gwarząc i sprzeczając się, jak to bywało czasami.

Uśmiechnęła się.

— Było to rozkoszne życie, Owanes był dla mnie wtedy wszystkiem. Dla niego byłabym...

Urwała nagle.

— A teraz czem jest ten Owanes, przecież on ten sam, on zawsze ten sam, on nigdy innym nie będzie! Te drzewa ogołocone z liści zmienią się, przekształcą, wszystko co dokoła nas ulegnie wpływowi czasu i okoliczności, ale ten Owanes tak długo jak żyć będzie, zostanie zawsze tym samym.

— Więc nie zmienił się? — pytała szeptem, nerwowo ściskając parasolkę, trzymaną w ręku.

— Nie.

— I nie zmieni?

— Nigdy!... Pamiętasz pani rozmowę naszą, tę ostatnią, wszak to było w tem miejscu, na tej samej ławeczce? Pamięta pani?

— Pamiętam, nigdy jej nie zapomniałam. Zapomniałabym może z czasem, gdybyś pan nie był wrócił.

— Więc ja nawiązałem napowrót zerwaną nić gasnących uczuć? — Zawołał, i radość mu drżała w głosie.

— Tak — odrzekła smutnie, — ale na co?

Zatrzymała się chwilkę, a potem powiedziała:

— Na co?... Niech pan powie na co? Przecież życie musi iść tym samym torem, jakim szło przez lat tyle, zerwać z niem nie można, pan wie, że nie można.

Zdawał się jej nie słyszeć, gdy mówiła; krew w nim burzyła się, zmysły paliły, czuł teraz, że się stał dla niej dawnym Owanesem, kochankiem myśli. Pochwycił ją ostrożnie za rękę, a ściskając szeptał:

— Helcia jest tą samą Helcią, tą samą, co dawniej, co niegdyś?

Nie mogła mu się oprzeć, nie wyrywała mu więc ręki, z ust jej wydarło się lekkie ledwie dosłyszalne:

— Tą samą.

Spojrzał na nią w upojeniu, i wydała mu się znowu rzeczywiście podobną do owej marzonej, wyśnionej w latach dzieciństwa kochanki.

Promień ostatni zachodzącego słońca ześliznąwszy się z gałęzi rosochatej akacyi, osiadł na jej śniadych licach, rumieńcem wzruszenia ożywionych; kochał ją napowrót tą samą miłością co niegdyś, bez cienia zazdrości, goryczy. Zdało mu się, że niebo czuje w sobie, podniósł rękę umiłowanej ku ustom, i całował i pił słodycz tej rozkoszy, bez pamięci o tem, co było, i bez myśli o tem, co być może.

Delikatnie wysunęła mu ją z uścisku, a powstając rzekła:

— Chodźmy ztąd, za wiele tutaj myśli i uczuć ciśnie się razem do serca.

Słuchał jej idąc obok.

— Gdyby pan wiedział — mówiła, — co się we mnie niekiedy dzieje. Ale pan tego nie może wiedzieć, ja sama powinnam starać się nie wiedzieć o tem.

— Ja wszystko wiem—odszepnął jej cicho, — ja rozumiem każde drgnienie duszy twej, Helciu.

Wszystko w nim się burzyło, drżało; bał się teraz, by nie dostrzegli zmieszania na jego twarzy.

Ona słuchała.

— Rozumiem cię, bo...

— Niech pan nie kończy, to być już nie może — rzekła i przestrach i trwoga jakaś rozlała się po jej licach zbladłych, z których rumieniec znikł nagle.

— To ta Wysoka na nas oboje tak podziałała, łudzimy się, żyjemy nie życiem rzeczywistem, nie tem, co jest i być powinno, a tem co było.

W tej chwili na zakręcie ujrzeli panią Kajetanową, która oprowadziwszy swoją towarzyszkę po wszystkich grządkach, szukała córki; pani Domaszkanowa i panna Antoniewicz już powróciły do dworu.

Zobaczywszy ją razem z Ohaną, zapytała:

— I o czem-że to państwo rozmawiacie?

— Potroszę o wszystkiem, moja mamo. Pan Owanes nie dawno przyjechał, mam mu więc dużo do opowiadania, a widzę, że go to interesuje.

— Naturalnie — potwierdziła staruszka. — Pan tu zapewne dużo rzeczy nie poznaje. Wszystko się, proszę pana, zmienia i ta Wysoka, którą pan znał niegdyś, już taką nie jest, kiedyś było i tu inaczej, piękniej. Wszak prawda?

— Właśnie zauważyłem, że ten lasek pod Krywonami wycięty, ani śladu z niego nie pozostało. A szkoda, taka była śliczna dąbrowa, zwłaszcza na wiosnę. Któż go tak zniszczył?

— Stefek! Mówił, że nowina mu jest potrzebna pod jakąś tam kukurydzę.

— Szkoda, szkoda!

Rozmawiając, szli razem ku dworowi. Już szarzało; w powietrzu czuć było podmuch chłodu wieczornego świeży, ożywczy, lecz przejmujący. Na zachodzie błyszczała dotąd, zarząca się coraz to słabiej płomienna wstęga, którą zostawiło po sobie słońce. Spokój i ciszę przyrody przerywał teraz wieczorny ruch na odaji. Pędzono bydło z wygonów, konie wracały z roboty i biegły tłumnie ku stajniom. Zewsząd rozlegały się okrzyki i nawoływania parobków i pasterzy. Wszystko to razem zlewało się w jedno jakieś brzęczenie, które odbijając się przeciągłem echem, wracało ku dworowi przytłumione, monotonne.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

## Wskazówki i rady.

### ZUPA SZWAJCARSKA.

Kiedy się już nic nie ma na zupę w domu, można zrobić następującą zupę prawie z niczego. Pokrajać bułkę w kostkę, usmażyć na rumiano, tak aby była zupełnie sucha. Zagotować wody w rondelku, osolić dobrze, włożyć kawałek świeżego masła i na łebek od szpilki gałki muszkatułowej, w wazę wbić na każdą osobę po dwa żółtka, rozbić je, lejąc gorącą zupę rozbijać dobrze, wtedy wrzucić usmażone na rumiano grzanki i zaraz podać do stołu, aby nie rozmiękły. W wazę można wlać kieliszek wina, a jeżeli nie ma być postna, to łut rozgotowanego bulionu licząc na trzy osoby.



Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

TREŚĆ: Od redakcyi. — Ś. p. Zygmunt Kaczkowski. — Praca kobiet. — Curiculum vitae, kartka z pamiętnika (ciąg dalszy). — Nasi najmłodsi (ciąg dalszy). — Zawody, profesye i powołania. — Antoni Miecznik: Owanes Ohana, powieść (ciąg dalszy). — Wskazówki i rady. — Ogłoszenia. — W DODATKU POWIEŚCIOWYM: Andrzej Theuriet: Kwiat Nicei, przekład Bronisławy Kowalskiej (arkusz 4).

## MAGAZYN DZIECINNY
## Z. ŁASKIEJ,
**Chmielna 18 (przy Brackiej),**
Największy wybór gotowej konfekcyi dziecinnej. Przyjmują się obstalunki. CENY BARDZO NIZKIE.
48138

---

SPECYALNY MAGAZYN
## OKRYĆ I FUTER DAMSKICH
## A. Łojewskiej
10. BRACKA 10. 497110

Poleca **NOWE** fasony okryć jesiennych i zimowych, podług modeli paryskich od skromnych do najstrojniejszych. Żakiety od rs. 11, Burki od rs. 15, Peleryny od rs. 6. Rotundy, Paletoty na futrach i wacie. Oprócz gotowych rzeczy wielki wybór materyałów, z których przyjmuje obstalunki.

---

## SPECYALNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA
## M-me TISSERANT
**Mistrzyni Cechu,**
**W WARSZAWIE, WSPÓLNA Nr 21.** 49614

Przygotowywa gruntownie i wyzwala na mistrzynie i podmistrzynie. Pensyonat przy szkole oraz pracownia sukien i okryć. Fasony są do nabycia.

---

## KAPELUSZE
podług ostatnich modeli paryzkich
NAJTANIEJ
poleca **Magazyn Mód**
## B. DOBEK
***Nawy-Świat Nr 64, w Warszawie.***

---



## Pierwszorzędna Szkoła Kroju i Szycia
w Warszawie, Nowo-Senatorska Nr 2,
## K. GŁODZIŃSKIEGO,

wykwalifikowanego nauczyciela specyalisty, który powróciwszy z zagranicy i zwiedziwszy pierwszorzędną stolicę mody, szkoły swoje postawił tak, iż równać się z niemi mogą jedynie pierwszorzędne instytucye zagraniczne; pod względem praktyczności i nowości w wykładach nauki. K. G. opracował i wydał w językach: polskim i russkim **Automat czyli Metodę poglądową** do momentalnego wykrawania i pasowania form różnych fasonów bez pomocy nauki. Ostatnie wydania: najnowsza uproszczona metoda kroju w jęz. polskim i rus. na nowo opracowana, zawiera wzory sukien, wszelkich paltotów i okryć **ostatniej mody paryskiej,** podług których skrojone fasony leżą znakomicie; podręczniki te pod względem uproszczonej nauki i nowości wyprzedziły dotychczasowe zagraniczne. W szkołach K. G. ukończyło naukę przeszło 10,000 osób i prowadzą pracownie i szkoły kroju w Warszawie, Cesarstwie i za granicą. Na kursa uczennice przyjmują się codziennie. **Po ukończonej nauce otrzymują patenta cechowe. K. Głodziński,** nagrodzony **medalami** złotemi i srebrnemi za wzorową naukę i najlepsze podręczniki 49222

---

## MAGAZYN FUTER I KONFEKCYI DAMSKIEJ
## JAKUBA PAWEŁEK
**ulica Czysta Nr 6.**

Ma zaszczyt polecić wielki wybór wszelkiego rodzaju futer krajowych i zagranicznych w najlepszych gatunkach. Przyjmuje obstalunki na wszelkie okrycia damskie, jako to: rotundy, palta, żakiety, peleryny etc., podług najświeższych francuzkich i angielskich mód, oraz futra mężkie, palta i marynarki futrzane, płaszcze i t. p., które wykonywa jaknajstaranniej po cenach najprzystępniejszych. 50015

---

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE
*Felicyi Ginejko* przy zakładzie froeblowskim *Jadwigi Chrząszczewskiej*
w Warszawie, Nowy-Świat 21. 474626

---

*Magazyn Bielizny, Ś-to Krzyzka 20,*
## JULII JACKOWSKIEJ
48934

poleca w wielkim wyborze po cenach umiarkowanych **bieliznę: mężką, damską, dziecinną, bluzki, barchany, prześcieradła i ręczniki kąpielowe.** Przyjmuje koszule do wstawiania: gorsów, kołnierzy, mankietów.

---

## M-lle de MOYSARD
*SUKNIE, KOSTYUMY TAILLEUR, AMAZONKI,* 48833 *HORTENSYA 7.*

---

## Zakład Naukowy Żeński 6-cio klasowy
z oddziałem przygotowawczym
## STANISŁAWY ŁAPIŃSKIEJ
W WARSZAWIE,
*Krakowskie-Przedmieście Nr 2*
***(wprost Kopernika).***

Przyjmuje uczennice na przychodnie, półpensyonarki i pensyonarki stale. Wymagania hygieny i pedagogiki ściśle przestrzegane, mieszkanie 8 łokci wysokie na I-em piętrze, system klas korytarzowy.

Tablice graficzne przedstawiające fizyczny rozwój dzieci w Zakładzie będących, odznaczone zostały pochwałą, a prace uczennic oraz pomoce naukowe Zakładu, nagrodzone ***medalem*** przez Komitet tegorocznej Wystawy Hygienicznej w Warszawie.

Po za obowiązującym programem nauk szkolnych, kładzie się nacisk na krój, roboty ręczne, konwersacyę w obcych językach, oraz dobre wychowanie, w najwyższem znaczeniu tego słowa. Warunki przystępne.

Gimnastyka, śpiew, tańce bez oddzielnej opłaty od pensyonarek.

Zapis i egzamin nowowstępujących uczennic odbywa się codziennie.

---

Marya MATUSZEWSKA
## Przełożona Pensyi Żeńskiej
47634
**w Warszawie, przy ulicy Leszno Nr 28.**

Zawiadamia, iż zapis uczennic na rok szkolny 1896/7, tak przychodzących jak i pensyonarek, odbywa się codziennie od 10—5-ej, kurs nauk zacznie się 1 go Września.

---

*Marya Gajewska* 49164
## WŁAŚCICIELKA MAGAZYNU MÓD

przygotowała duży wybór kapeluszy na sezon Jesienny i Zimowy, jako też przyjmuje obstalunki podług najświeższych modeli.
**Podwal Nr 16, w Warszawie.**

---

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga **REUSSNERA:**
## Najlepsza Metoda
do nauczenia się **BEZ NAUCZYCIELA** czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w **3**-ch **MIESIĄCACH,** po angielsku w **24**-ch **LEKCYACH.** Cena metody niemieckie kurs niższy 60 k. — kurs wyższy rs. 1 k. 60 Komplet (oba kursa) **tylko 2 rs. METODA ANGIELSKA** z wymową kurs I k. 75, kurs II rs. 1 k. 20, komplet rs. 1 k. 70 **„SAMOUCZEK" POLSKO-FRANCUZKI** z wymową 37 zeszyt. po 15 k. **NAJLEPSZE ELEMENTARZE: POLSKO-NIEMIECKI** i **RUSKONIEMIECKI** z wymową, z 14 wzorkami, kop. 35, 20 i 10. **POLSKI** kop. 25, 15 i 4.

Na przesyłkę pocztową dopłata do każdego rubla po kopiejek 20. Skład główny u autora (Reussnera) **ZŁOTA 6,** w Warszawie. 418152

---

W Szkole Malarsko - Przemysłowej
*Alicyi Nowińskiej*
**36. Senatorska 36.** 49516

Rozpoczną się lekcye dnia 1 Października. Zapisy przyjmują się codziennie od 11 do 2.

---

*Warszawa, ulica DŁUGA № 5.*




TELEFONU № 772.

**WINA ZAGRANICZNE,**
**Koniak „IMPERIAL."**
Wybór wielki.—Ceny najniższe. 4171726

---

## MAGAZYN
## E. LOTH
49816
*NOWY-ŚWIAT № 57, wprost Ordynackiej, miesz. 2.*

Zawiadamia Sz. Publiczność, iż magazyn egzystujący lat 50 na Krakowskiem-Przedmieściu Nr 17, przeniesiony został tymczasowo do lokalu prywatnego, na ***Nowy-Świat Nr 57.***

Poleca na porę obecną w wielkim wyborze:

**Kapelusze** *damskie i dziecinne, filcowe i fantazyjne tak własnego wyrobu jakoteż* ***oryginalne paryzkie,*** *z ubraniem i bez tegoż — na różne ceny.*

**Kwiaty** *i rośliny do mód i ozdoby apartamentów, Palmy zasuszone i t. p.*

***Do przerabiania*** *przyjmują się wszelkiego rodzaju* ***kapelusze*** *filcowe i t. p.*

***Sprzedaż hurtowa i detaliczna.***

Дозволено Цензурою Варшава 10 Сентября 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.